

MARIA KRÜGER
**UCHO, DYNIA,
125!**



**UCHO, DYNIA,
125!**

MARIA KRÜGER
UCHO, DYNIA,
125!



Siedmioróg

Ilustrowała
Judyta Julia Wodnicka

Projekt okładki
Artur Piątek

© Copyright by Piotr Bieliński

ISBN 978-83-7568-637-1

Wydawnictwo Siedmioróg
ul. Krakowska 90, 50-427 Wrocław
Księgarnia wysyłkowa Wydawnictwa Siedmioróg
www.siedmiorog.pl

Wrocław 2011



1. PLAN SYTUACYJNY I W OGÓLE O WSZYSTKIM PO TROCHU

Najlepiej chyba będzie zacząć od planu sytuacyjnego. A przede wszystkim od tego, gdzie mieściła się Szkoła Numer Siedemnaście. Otóż Szkoła Numer Siedemnaście znajdowała się przy zbiegu dwóch ulic: ulicy Dobrego Wychowania i ulicy Samych Piątek. Gmach szkolny był niezbyt wysoki, ale za to rozległy, a na jego tyłach zrobiono boisko szkolne. Natomiast okna większości klas wychodziły na ulicę. Nie było to najlepsze, jak twierdzili nauczyciele — gdyż podczas lekcji ciągle ktoś gapił się przez okno, zamiast uważać. Ale na to już nie było rady.

Jedną z takich klas, których okna wychodziły na ulicę, była klasa piąta C, na pierwszym piętrze. Trzeba przyznać, że widok stamtąd był wspaniały. Można było doskonale śledzić wszystko, co się działo na obydwoh ulicach, które zbiegały się w narożnik — a więc na ulicy Dobrego Wychowania i na ulicy Samych Piątek. A działy się tam czasem rzeczy szczególnie interesujące, a nawet można było śmiało powiedzieć — niezwykle. Do takich niezwykłości należeli na przykład Balonikarz i jego żółty pies. Ale o nich i tak będzie mowa później.

Natomiast teraz nieco więcej należałoby powiedzieć o klasie piątej C. Oprócz tego, że okna tej klasy wychodziły na ulicę, można by jeszcze dodać, że była to klasa widna i rozległa. Ławki stały trzema rzędami, w rzędzie środkowym siedziały dziewczynki, a w tych dwóch bocznych siedzieli chłopcy. Jeśli chodzi o zachowanie uczniów, trzeba ze smutkiem wyznać, że klasa ta nie cieszyła się najlepszą opinią wśród nauczycieli. O, co to — to nie!

Ta zaszargana opinia nie była, niestety, bezpodstawna. Wychowawca piątej C, pan Kowalski, kiwając smutnie głową, mówił nawet, że według zdania wszystkich nauczycieli jest to najgorsza klasa w całej szkole. Ale ponieważ, jak się potem okazało, to samo kubek w kubek o swojej klasie mówiła wychowawczyni piątej A — pani Makowska, więc była, być może, w tym twierdzeniu niejaka przesada. W każdym razie ta piąta C nie była znów taka bardzo wzorowa i najlepsza. To jedno jest pewne.

A do powstania takiej opinii przyczyniali się oczywiście niektórzy uczniowie. No, choćby taki Kosmala...

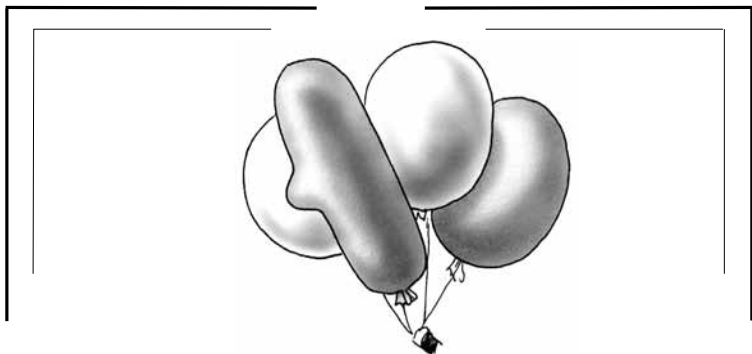
Ale o tym potem. Na razie wróćmy do planu sytuacyjnego klasy. Jak już było powiedziane, w rzędzie środkowym siedziały dziewczęta. Otóż należy jeszcze dodać, że w drugiej ławce tego rzędu siedziała Julka ze swoją przyjaciółką Magdą. Magda w tym opowiadaniu nie odgrywa żadnej roli, natomiast Julka, jak to się dalej okaże, będzie poważnie zamieszana w całą tę historię, o której będzie mowa.

Co do chłopców — to chyba przede wszystkim należy powiedzieć o tych, którzy siedzą w rzędzie przy oknie. Tam więc, w drugiej ławce, w sąsiedztwie Julki siedział Piotrek ze swoim przyjacielem Wojtkiem, a dwie ławki dalej, za nimi tkwił gruby Maciupa. Maciupa naprawdę nazywał się zupełnie inaczej, ale wszyscy wołali na niego Maciupa i to jest łatwiejsze do zapamiętania. Natomiast w tym rzędzie od ściany, w ostatniej ławce, siedzieli Jacek Kosmala i Waldek, a przed nimi dwaj ich przyjaciele: Fredek i Maniek. Pozostali piątacy dzielili się na dwa obozy: byli to albo zwolennicy Jacka Kosmali, wodza Bandy Silniaków, albo zwolennicy Piotrka — wodza Bandy Bohaterów.

A jeśli już mowa o wodzach, można jeszcze dodać, że Kosmala mieszkał w nowych blokach przy ulicy Lipowej, a Piotrek mieszkał po przeciwnej stronie, przy ulicy Świerkowej.

Teraz chyba można sobie wyobrazić, jak wygląda plan ulic w tej dzielnicy i gdzie znajduje się Szkoła Numer Siedemnaście. Jeśliby ktoś chciał, mógłby go nawet narysować. I można by jeszcze narysować te dwanaście drzewek, które rosły przed szkołą.

Tak więc opowiedzieliśmy chyba dosyć dużo o wszystkich miejscach, gdzie zaczęła się ta niezupełnie zwyczajna historia.



2. TERAZ O BALONIKARZU

Teraz trzeba powiedzieć o Balonikarzu, który czasem przechadzał się przed szkołą.

Otóż o Balonikarzu nie można powiedzieć na razie nic tak zupełnie pewnego, tylko tyle, że był to ktoś dziwny i tajemniczy. A najdziwniejsze chyba było to, że nikt dotychczas nie widział go tak naprawdę. Naprawdę — to znaczy zupełnie z bliska. Bo byli tacy, którzy widywali go na rogu ulicy przed szkołą, z kijem, do którego był uwiązany pęk niezwykle dużych i pięknych baloników — ale widzieli go tylko z okna klasy. Niektórzy zdołali też zauważyć, że nosił trochę śmieszny, podobny do saganka staromodny kapelusz, a znów inni widzieli najzupełniej dokładnie, że w chłodne dni owijał szyję czerwonym szalem. Szal, jeśli to był dzień wietrzny, powiewał niczym flaga na maszcie.

Tyle było wiadomo na podstawie obserwacji z okna, tyle i nic więcej, bo nikomu jeszcze nie udało się spotkać Balonikarza tak nos w nos i porozmawiać z nim albo kupić od niego balonik. To się nigdy jeszcze nie zdarzyło. Bo wtedy kiedy wszyscy wychodzili ze szkoły albo też zupełnie rano, przed lekcjami — wtedy Balonikarza nigdy, ale to nigdy na ulicy nie było. Ba, niektórzy z piątej C — gdyż z okien piątej C można było go najlepiej obserwować — otóż niektórzy uczniowie brali się nawet na taki sposób, że próbowali szybko wybiec na ulicę podczas przerwy. Ale to też nic nie pomagało. Balonikarz znikał natychmiast.

Piotrek, ten, o którym będzie dalej mowa, nawet specjalnie zaczajał się za rogiem ulicy, licząc na to, że w ten sposób zaskoczy tajemniczego

sprzedawcę baloników. Ale gdzie tam! Nigdy mu się Jeszcze nie udało. Mimo to Piotrek nie tracił nadziei i na wszelki wypadek nosił zawsze przy sobie trochę swoich oszczędności — na zakupienie balonika. Bo pomimo że w piątej, szóstej, a tym bardziej siódmej klasie człowiek już nie powinien interesować się balonikami, to trzeba przyznać, że te, które sprzedawał tajemniczy i nieznany Balonikarz — były niezwykle. Po pierwsze, były bardzo duże — a po drugie, miały jakieś dziwne kolory. Zupełnie jakby były wypełnione światłem. W mgliste, mroczne dni jesienne wyglądały jak blado świecące, kolorowe lampy.

Biorąc pod uwagę te wszystkie niezwykłości jasne jest, że spotkanie z Balonikarzem stało się punktem honoru nie tylko dla uczniów z piątej C, ale nawet i z szóstej, i siódmej. Robiono nawet szalone zakłady — gdyż byli tacy, którzy nie wątpili, że w końcu uda im się spotkać owego tajemniczego jegomościa. Stawiano w zakład najpiękniejsze „zośki”, dętki rowerowe i długopisy, a jeden z piątków zaryzykował nawet zakład o rakiętę do badmintona. Była ona co prawda niezupełnie dobra, gdyż miała zerwane cztery struny. Ale co rakieta, to rakieta.

Wszystko na próżno.

Natomiast dość często można było spotkać biegającego w pobliżu szkoły niewielkiego żółtego psa, jamnika.



3. A TERAZ O WYZYWANCE

Tak, teraz będzie mowa o wyzywance. Wzięła się w szkole zupełnie nie wiadomo skąd.

Oczywiście, mam na myśli ową słynną w całej szkole wyzywaną, którą znów nie wiadomo kto nazwał: „Ucho, dynia, sto dwadzieścia pięć”. W każdym razie zaczęło się od tego, że pewnego dnia, podczas tej najdłuższej przerwy, ktoś na korytarzu zawołał „ucho” i wtedy jeden chłopak, podobno to był ktoś z czwartej B, chwycił się za ucho. Niektórzy utrzymują, że wyzywanka przyszła do Szkoły Numer Siedemnaście z powszechniaka Numer Trzydzieści Dwa przy ulicy Wesołej, ale byli i tacy, którzy mówili, że to nieprawda. Mniejsza zresztą, skąd się wzięła — grunt, że opanowała całą, ale to caluteńką Szkołę Numer Siedemnaście. Opanowała tak błyskawicznie, że już na drugi dzień po tym, jak ten chłopak z czwartej B złapał się na okrzyk „ucho” za własne lewe ucho, cała szkoła z wyjątkiem nauczycieli grała w nią w sposób opętany i nie dający się niczym zahamować. Oczywiście, trzeba jeszcze wyjaśnić, że wyzywanka nie ograniczała się tylko do okrzyku „ucho!”, co obowiązywało wyzwanego do schwywania się za własne ucho, ale ponadto wyzywający mógł na przykład krzyknąć „dynia!”, co, nie wiadomo dlaczego, oznaczało, że wyzwany ma się chwycić za nos, a znów jeśli wyzywający wymienił na dodatek jakąś liczbę, no na przykład „dziesięć”, znaczyło to, że wyzwany musi natychmiast podskoczyć na jednej nodze dziesięć razy. Aby zabezpieczyć się przed wyzywaniem, należało trzymać podniesiony do góry palec, co oznaczało „wymawiam”. Doszło do tego, zwłaszcza jeśli chodziło o dziewczynki, że trzymały bez przerwy palec do

góry, co znów okropnie denerwowało wszystkie nauczycielki, nie mówiąc już o pani kierownicze szkoły. Ale co miały robić biedne dziewczynki, jeśli na każdej przerwie czyhało na nie niebezpieczeństwo wyzywanki.

Od wyzywania można było uwolnić się dwojako: albo wyzywana ofiara trzymała się za ucho czy nos aż do dzwonka, którego dźwięk zwalniał wyzwanego, albo też wyzwany przerzucał wyzwanie na kogo innego.

Kiedy moda wyzywanki zapanowała w szkole, to na samym początku zarówno pani kierowniczka, jak i nauczycielstwo nie wątpili, że jest to moda szybko przemijająca i że po prostu najlepiej będzie udawać, że się nie dostrzega tych dziwacznie wyglądających osobników trzymających się za nos lub ucho albo podskakujących na jednej nodze. Ostatecznie nic to nikomu nie szkodziło, tylko czasem wyglądało głupio i denerwowało niektórych nauczycieli.

Pani Makowska, ta od geografii, powiedziała nawet, że to może i lepiej, że jest ta wyzywanka, bo przynajmniej ci wyzwani nie biegają po korytarzu i nie krzyczą tak okropnie, że aż uszy puchną.

Tak, tak, naprawdę tak powiedziała, ale już wkrótce potem zmieniała zdanie i przyłączyła się do tych nauczycieli, którzy orzekli, że wyzywanka panosząca się w szkole doprowadza ich do białej gorączki. Doszło w końcu do tego, że kierownictwo szkoły zastanawiało się, czy nie wydać jakiegoś zarządzenia, które zabraniałoby tej zabawy. Ale w końcu zwyciężyło zdanie pana Kowalskiego, wychowawcy z klasy piątej C, że nie należy zabraniać wyzywanki.

— Zobaczycie, że w końcu im się to też znudzi — tak powiedział na zebraniu nauczycielskim.

Ale prorocze słowa pana Kowalskiego jakoś nie chciały się sprawdzić. Wyzywanka była dalej modna, wszyscy ją uprawiali i ciągle jeszcze można było spotkać jej zapalonych zwolenników. A największym zwolennikiem był Kosmala. Właśnie ten z piątej C. Zaledwie po dzwonku wybiegł na korytarz, już rozglądał się wokoło, szukając ofiary. Ma się rozumieć, że wszyscy mieli się na baczności, ale czy człowiek może się tak zawsze upilnować? Pani Makowska była nawet skłonna przypuszczać, że Kosmala nie nocuje w domu, tylko w szkole, i że od świtu czeka w końcu korytarza na wpadających uczniów, aby od razu móc ich wyzywać. Ale pani Makowska myliła się. Kosmala nocował w domu i podobno spał tak mocno, że rano trudno było go obudzić. Dlatego też, być



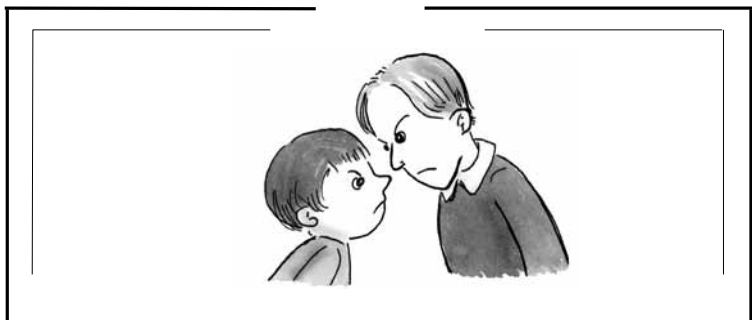
może, przybiegał do szkoły dopiero w ostatniej chwili przed dzwonkiem. A może i dlatego się spóźniał, że jeszcze tuż przed ósmą miał swoje różne sprawy do załatwienia. Jak to Kosmala. Przede wszystkim zaczynał się za rogiem ulicy Dobrego Wychowania, w tym wgłębieniu, za którym zaraz nieco dalej jest sklep z papierem, i wyskakiwał najnie spodziewaniej w świecie na trzeciaków i czwartaków, żeby ich wyzwać do skakania na jednej nodze jeszcze na ulicy. Potem pękał ze śmiechu, kiedy patrzył, jak taki pętaś jeden z drugim szybko skakał w stronę szkoły, aby się nie spóźnić. Chyba że nadszedł w takim momencie ktoś z nauczycielstwa i maluch mógł zaprzestać skakania. Naturalnie że dopytywania ze strony starszych nie dawały żadnego rezultatu. Nikt nie chciał skarżyć na Kosmalę, bo wiadomo było, że on już potem potrafi się odegrać. Więc dlatego Kosmala tak sobie używał. Ba, potrafił nawet wyzywać zupełnie małe trzeciaki na dwadzieścia pięć podskoczeń, co było rzeczą bardzo trudną nawet dla silnych i wprawionych w skakanie szóstaków.

Poza tym jego ulubionym zajęciem było dokuczanie wszystkim spotkanym po drodze psom, a już szczególnie małemu żółtemu psiakowi, który często biegał w pobliżu szkoły, a czasem siadał i przekrzywił głowę, zupełnie jakby na kogoś czekał.

Przez długi czas nie wiadomo było, czyj to jest pies, ale któregoś dnia Piotrek dokonał zaskakującego odkrycia, że jest to pies Balonikarza. Fakt ten nie ulegał najmniejszej wątpliwości. Spojrzawszy na lekcji matematyki przez okno na ulicę, Piotrek zobaczył na własne oczy, że obok drepcącego z pękiem balonów Balonikarza biega ten właśnie mały żółty jamniczek. To spostrzeżenie potwierdził potem nie kto inny, a sam Maciupa. Pierwszy uczeń w klasie. Zwłaszcza z matematyki i biologii. Do tego należy jeszcze dodać zeznanie Julki, która pewnego dnia udając, że niby wchodzi do szkoły, odwróciła się błyskawicznie, aby przyłapać Balonikarza. Prawie się to jej udało. Nie zobaczyła jego samego z bliska, ale zaklinała się, że dojrzała za rogiem powiewające końce czerwonego szala, a także biegnącego za Balonikarzem tegoż właśnie żółtego psa.

Otóż Kosmala nie wiadomo dlaczego czepiał się tego psiaka i rzucał w niego kasztanami. A jeśli nie było kasztanów, to rzucał patykami i nawet czasem kamieniami albo też obrzydliwie przedrzeźniał psie szczekanie, co jamnika najwidoczniej denerwowało. Wszyscy mówili temu Kosmali, żeby dał spokój, ale gdzie tam Kosmala kogo posłuchał! On uważał, że jeśli jest najwyższy w klasie, to mu wszystko wolno. I co z takim gadać.

Tak, to chyba wszystko, co można na razie powiedzieć o wyzywance, o Kosmali i o żółtym psie, który czasem biegał w pobliżu szkoły.



4. O BOHATERACH I SILNIAKACH

Aby opowiedzieć wszystko tak, jak było naprawdę, trzeba sprawiedliwie przyznać, że najczęściej wypatrywali tego Balonikarza Piotrek i Maciupa. Gruby Maciupa tak potrafił się zagapić, że kiedyś nie usłyszał, że go pani woła do tablicy. Dostał przez to uwagę w dzienniku, czym bardzo się zmartwił. Bo Maciupa jest ogromnie pilny. Chyba najpilniejszy w klasie.

A jeśli już mowa o Maciupie, dobrym, pocziwym Maciupie, to należy jeszcze dodać, że jest on podporą Bandy Bohaterów, której wodzem i założycielem jest, jak już wiadomo, Piotrek. On również obrywa uwagi za to gapienie się przez okno, ale poza tym uczy się nieźle i lubi czytać książki o bohaterach i ich niezwykłych przygodach. Chciałby też dokonać czegoś szlachetnego i nawet w tym celu założył swoją Bandę.

Do Bandy, prócz Maciupy, należy także Wojtek i jeszcze paru chłopców. Ponadto ta Piotrkowa Banda ma w klasie swoich zwolenników — to znaczy takich, którzy do Bandy nie należą, ale w razie czego są po jej stronie i popierają ją. Również do Bandy należy i Julka. Ale potajemnie, żeby jej nie dokuczały inne dziewczynki, że trzyma z chłopakami.

Naturalnie że Banda Silniaków, której wodzem jest Kosmała, ma też swoich stronników. Nawet jest ich dosyć dużo. Bo to są ci chłopcy, którzy zawsze chcą się bić. Nawet bez powodu, tylko tak — aby się walić. Więc oni są za Kosmałą. Wśród nich są naturalnie tacy jego przyjaciele od serca, jak Waldek albo Fredek czy Maniek. I oni należą do sztabu Bandy Silniaków.

Obydwie bandy są w nieustającej wojnie, bo Silniacy zaczepiają

Bohaterów na każdym kroku i nie dają im spokoju. Pewnie, że Silniaki mają przewagę, bo to najwięksi chłopcy w klasie i niektórzy są drugorocznici i bardzo silni. A Bohaterzy są słabsi — już choćby dlatego, że to są chłopcy młodsi i tacy, którzy nie lubią bijatyk. No, nie lubią i już.

Starcia między Bandami bywają różne. Czasem to bywają małe utarczki, a czasem większe bitwy — na przykład na kule papierowe. Ale na dobre to się to wszystko rozpętało dopiero wtedy, kiedy w piątej C zapanowała moda na wyzywanek. Wtedy dopiero zaczęły się awantury.

A teraz już chyba można zacząć mówić o tym, co było dalej.

UCHO, DYNIA, 125!

Jacek Kosmala chciał krzyczeć, że nie chce, że się nie zgadza, ale nie mógł. Jego okrągła i rumiana twarz wydłużyła się w psi pyszczek, nogi stawały się coraz krótsze, ręce skurczyły się w błyskawicznym tempie i stały się małymi, krzywymi łapkami. Całe ciało było teraz długie i pokryte żółtą sierścią. Jednocześnie Jacek poczuł, że jest mu bardzo niewygodnie tak stać na dwóch nogach, i wobec tego stanął na czworakach.

– Co się ze mną dzieje? – krzyknął zdumiony i przestraszony, ale zamiast krzyknąć, głucho warknął.

